

Dr. med. R. ZADĘBOWSKI.

Prostytucja ze stanowiska policji

Kilka uwag z powodu artykułu Dra Kazimierza Szczepańskiego.

W okresie budowy państwa zarówno pod względem politycznym jak i administracyjnym ujęcie pewnych zjawisk społecznych, w ramy ustaw prawnych, któreby je regulowały, posiada znaczenie pierwszorzędnej wagi.

Stuszną więc jest rzeczą, ażeby, zanim to nastąpi, dane zjawisko, czy zagadnienie rozpatrzone zostało jaknajbardziej wszechstronnie przez ludzi dobrze z niem obznajomionych nie tylko teoretycznie, lecz i praktycznie i dopiero po przejściu przez sito krytyki przybrało kształty przepisów prawnych. Ma to szczególne znaczenie dla nas, gdyż każdy z trzech zaborów posiadał odmienną administrację, a zatem odmienną praktykę i oświadczenie, które przy opracowaniu jednolitej dla połączonych ziem Polski ustawy, może i powinno być wykorzystanem.

Z uznaniem też powitać należy artykuł dra Szczepańskiego, oparty na podstawie długoletniego doświadczenia i obserwacji roli, jaką odegrała policja w walce z prostytucją w byłym zaborze austriackim.

Z braku miejsca nie mogę zajmować się całością artykułu, a ograniczyć się pragnę do wypowiedzenia kilku uwag a propos udziału władz politycznych i autonomicznych w omawianej kwestji.

Powołując się na rozporządzenie Namiesnictwa z roku 1888, którem uregulowana była walka z chorobami wenerycznymi i nierządem w Małopolsce, autor wyraża się o niem z całym uznaniem, jako o rozporządzeniu zawierającym postanowienia rzeczowe, liczące się z istotnymi objawami życia, ale przede wszystkim bardzo humanitarne i postępowe, — to jest teoria, a praktyka?

Opinię o praktycznym wykonaniu tego teoretycznie na wysokości stojącego rozporządzenia znajdujemy w następnym zdaniu autora, które brzmi: „jeżeli na podstawie tych przepisów nie wykorzeniono zła, to wina ludzi — wykonawców, a nie przepisów”

Jakże wobec tej surowej, ale zupełnie słusznej i sprawiedliwej opinii autora o wykonawcach pogodzić jego żądanie, by w odradzającej się Polsce tę ważną czynność powierzyć tym samym organom wykonawczym t. j. starostom, a w wielkich miastach Dyrektorom policji? a wszak tego autor się domaga i to uwa-

ża za jedynie racjonalne i wskazane, ba, nawet konieczne. Pozwolę sobie zacytować odpowiednie ustępy z artykułu autora: „Niejednokrotnie spotykałem się z zarzutem, że jest skończonym nonsensem, aby starosta, prawnik, kierował lekarzem, inżynierem, weterynarzem i t. d. Otóż zawsze twierdziłem, i na podstawie praktyki twierdzić będę, że takie kierownictwo zasadnicze jest konieczne, o ile administracja ma iść sprawnie. Nie znaczy to bynajmniej, by starosta wtrącał się lekarzowi lub inżynierowi w jego zarządzenia...”

„Nie chcemy na miły Bóg robić lekarzy i inżynierów starostami” „Z tych tedy względów, uważam za konieczne pozostawienie dozoru nad prostytucją i jej reglamentacją, władzom administracyjnym, państwowym i samorządowym i policji, jak dotąd ich organowi wykonawczemu”.

Otóż, o ile chodzi o sprawność byłej administracji galicyjskiej, to stała się ona przysłowiową i wieść o tem przedostała się przez słupy graniczne jeszcze przed wojną; dzisiaj zaś pomiędzy nią, a obecną naszą administracją dziwne zachodzi podobieństwo; stąd wniosek, że i obecnie w sprawie omawianej niewiele po niej spodziewać się możemy, a wszak dążeniem naszym jest właśnie uzyskanie rezultatów pozytywnych.

Starosta galicyjski nie tylko wtrącał się do zarządzeń lekarza, lecz jego działalność kępował, a nawet paraliżował, co niejednokrotnie było przyczyną ostrych scysji pomiędzy lekarzem a starostą, kończących się zwykle przyznaniem racji staroście, a przeniesieniem lekarza, którego karjera urzędnicza była w ten sposób przypieczętowana na zawsze.

Sprawiedliwość każe stwierdzić, że bywali starostowie, którzy uznawali swój brak kompetencji i całą sprawę zdawali na lekarza, lub też doświadczeni, którzy szli na rękę lekarzowi, lecz niestety, takich było bardzo niewiele.

Nic też dziwnego, że tym wszystkim, dla których arkana administracji galicyjskiej nie są tajemnicą, żądanie autora do przekonania trafić nie może.

Z łatwo zrozumiałych względów nie chcę wchodzić w szczegóły; te uwagi ogólnikowe i wreszcie sąd ujemny, wypowiedziany przez

samemu autorowi o złych wykonawcach dobrych ustaw powinny nas skłonić do szukania innej drogi, na której dałoby się rozwiązać to palące zagadnienie społeczne, jakim jest prostytucja. Nie mogę powiedzieć żebym był zachwycony sposobem, w jaki prowadzona jest u nas walka z chorobami wenerycznymi, zwłaszcza z nierządem, pozwolę sobie, wbrew zdaniu autora i wielu lekarzy, twierdzić, że zarówno w tej sprawie, jak wogóle we wszystkich, dotyczących zdrowia publicznego, kierownictwo powinno spoczywać w ręku lekarza.

Że sam tytuł i charakter lekarza nie wystarcza jeszcze, by podjąć się obowiązków kierownika w sprawie, o której mówimy, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Skoro prawnik, posiadający wykształcenie fachowe, znajomość ustaw administracyjnych, nie zawsze jest dobrym administratorem, tem trudniej znaleźć można dobrego administratora i organizatora wśród lekarzy, którzy żadnego wykształcenia teoretycznego pod tym względem nie mają. A przecież, jak to wykazuje doświadczenie, i wśród lekarzy spotykamy dzielnych, energicznych organizatorów i to nie tylko w instytucjach zawodowych, lecz i w takich które z lecznictwem nic wspólnego nie mają. Lecz i z tych lekarzy na stanowisko kierownika i inne stanowiska odpowiedzialne nadają się tylko ci, którzy oprócz wymienionych wyżej zalet posiadają siłą wiarę w skuteczność swojej pracy, wiarę, że prostytucja nie tylko powinna, ale może i musi być zwalczona.

Nie należy spodziewać się pomyślnych wyników pracy od kierowników nawet lekarzy, o ile wyznawcą będą hasła wypowiedziane przez autora że „prostytucja zwalczyć się nie da” lub też „dziś państwowo-wojny musi niestety odgrywać w sprawie prostytucji rolę strusia, chowającego głowę pod skrzydła. Nie uznając prostytucji, musi ją tolerować”.

O ile, wyobrażam sobie, musi być upokarzającym dla prostytucji ten brak „uznania” ze strony państwa nowoczesnego, o tyle stanowisko „strusia” jest dla niej bardzo wygodnym i pożądanym. To też prostytucja przechodzi nad jednym i drugim do porządku dziennego, rozwijając się ku pożytkowi właścicieli hoteli, pokojów umeblowanych, magazynów mód i t.p. a na poharbienie rodu ludzkiego i degenerację rasy.

W. ZALESKI.

Z dziejów policji rosyjskiej po powstaniu styczniowym.

XV.

Nazajutrz po rzezi na placu Teatralnym nastąpiła reakcja. Przedewszystkiem, bez względu na następstwa, po krwawej rozprawie utworzył się pierwszy pochód narodowy pod znakiem krzyża świętego, poprowadzony przez jednego z prowincjonalnych księży, przebywającego w Warszawie. Warszawskie duchowieństwo w pierwszej chwili odsunęło się od manifestacji, wyłącznie w duchu socjalnym i wystąpiło dopiero gremjalnie w manifestacji narodowej 5 listopada. Niezbyt liczny ten pochód, prowadzony przez nieznanego księdza, żegnającego krzyżem świętym napotkane tłumy, prowadził także ksiądz Stanisław Lubomirski i kilku innych obywateli, gotowych na wszystko. Był to odruch przeciw manifestacjom wyłącznie socjalistycznym na podkładzie międzynarodówki, gdy z trybuny w filharmonji na pierwszym wiecu rozległy się okrzyki po pierwszym przemówieniu: „Tyko nie po polsku!”

Języki żydowski i rosyjski były uprawnione, polski został wyrzucony. Lud warszawski oprzytomniał i oburzył się, i po tym pierwszym pochodzie zaimprovizowanym zażądał wprost wielkiej manifestacji narodowej. Manifestacja 5-go listopada przy całkowitem cofnięciu się policji rosyjskiej odbyła się najwspanialej, gromadząc całą ludność chrześcijańską miasta, gdy te same organizacje socjalne, oprócz żydowskich, przyłączyły się do pochodu, śpiewając razem z całym ludem hymny narodowe.

Analogiczne wypadki działy się w roku 1861-ym. Wszak po rzezi, dokonanej na Kra-

kowskim Przedmieściu, policja rosyjska cofnęła się na sto dni, zamieniona przez straż obywatelską, a pogrzeb pięciu poległych stał się manifestacją narodową, której równa i przewyższająca wspaniałością dopiero odbyła się w lat czterdzieści cztery, dnia 5-go listopada roku 1905-go.

Zaczął się miodowy miesiąc rewolucji. Policja nie przeszkadzała manifestacjom wszelkich odcieni, nawet niedopuszczała sama do wrogich demonstracji anarchistycznych przeciw biało-amarantowej chorągwi pod godłem orła polskiego, oplutego przez motloch nalewkowski i nazwanego gęsią.

Była naprzykład chwila w Alejach Ujazdowskich wnet po rzezi na placu Teatralnym, gdy pochód narodowy zatrzymał się koło ogrodu Botanicznego, by wysłuchać przemówień. Od strony placu Świętego Aleksandra, prawie pędem biegł pochód anarchistów pod czarną chorągwią niosąc podartą odzież z trupów mordu moskiewskiego i chciał rozpędzić narodową manifestację, lecz delegowany dla porządku komisarz Zacharko stanął w poprzek alei z szeregiem policjantów i nie dopuścił do starcia, zwracając anarchistów w boczną ulicę.

Przemówienia były różne. Pamiętam jakiegoś polityka krótkowzrocznego, który wszedłszy na drabinę latarni przy zbiegu ulicy Brackiej, Szpitalnej i Chmielnej, wzywał lud polski do wyrzeczenia się Wilna i wogóle „Rosji” zaczynając od Brześcia, a wskazywał na Kraków i Poznań, nie wspominając o armji pruskiej i austriackiej.

Może w przemówieniach najwięcej trzeźwą była demagogiczna Róża Luksemburg, która z wysokości latarni przy statui Kopernika przemawiała do pochodu, ostrzegając lud by nie wierzył rządowi rosyjskiemu i żadnym manifestom państwom państwowym. Istotnie zaledwo w trzy go-

dziny lud przekonał się, co był wart manifest tolerancyjny rosyjski, gdy oberpolicmajster Mejer urządził rzeź na placu Teatralnym i pierwszy nie zastosował się do rozkazu manifestu.

W taki sposób skończył się rok 1905, gdy Polska ze swą rewolucją szła wciąż spóźniona w ogonku rewolucji rosyjskiej, zaczynając od manifestacji styczniowych po aferze Hapona, a skończywszy na całym roku 1906-m, gdy Rosja już się uspokoiła, w Warszawie zaś i Polsce lała się krew niepotrzebnie i skończyło się na utraceniu wszelkich zdobyczy i przedłużeniu stanów wyjątkowych.

Rząd rosyjski dał się wyszumieć manifestacjom w Warszawie, na które w końcu nikt już nie zwracał uwagi, gdy wywiesiwszy czerwoną chorągiewkę, ujawniwszy się pod ręce maszerowały środkiem ulicy dwie lub trzy panienki, otoczone kilkunastoma młodzieńcami śpiewając „Czerwony sztandar”, bo rząd rosyjski przygotowywał się do walnej kampanji z „kramolą” polską i na takie głupstwa nie zważał. Chodziło przecież i o wprowadzenie stanu wojennego w Polsce, którym obdarowano naród polski na gwiazdkę, roku 1905-go w wigilję przypadającą tegoż roku w niedzielę. Oprócz tego rząd był zajęty zmianą generał-gubernatora po bezkrólewju wywołanem ustąpieniem Maksymowicza, gdy czas jakiś nie zdecydowano się na wybór jego następcy.

Rok ten zakończył się także wybuchem pierwszej anarchistycznej bomby w jednym z domów przy ulicy Muranowskiej. Mieszkał tam jakiś żydek anarchista, przechowując dla zamachów bombę. Bomba ta w sposób niewyjaśniony wybuchnęła burząc, całe podaszce oficyny i rujnując schody. Sprawca został zabity, śledztwo nie wpadło na trop organizacji, lecz wybuch ten usprawiedliwił stanowisko rządu wobec ogłoszenia stanu wojennego w Warszawie.